

THE MYSTERIOUS KILL  
THE COUNT OF MISSING GIRLS SHOTS UP TO 25

# REAPER

DARK VERSE

TOM 2

R U N Y X



R U N Y X

# REAPER

DARK VERSE

TOM 2

PRZEŁOŻYŁA  
Edyta Świerczyńska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*The Reaper*

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Joanna Pawłowska

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Małgorzata Denys

Opracowanie graficzne okładki: Wojciech Bryda

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2020. THE REAPER by RuNyx

Published by arrangement of Brower Literary & Management Inc.,

USA and Book/Lab Literary Agency, Poland.

Cover Design by Nelly R.

Copyright © 2024 for the Polish edition by Papierowe Serca an imprint  
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Edyta Świerczyńska, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie  
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź  
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody  
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-017-4

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | [www.WydawnictwoKobiectwo.pl](http://www.WydawnictwoKobiectwo.pl)





# I PODSŁUCHANE

Ziemię smagały strugi rzęsiwego deszczu, krople rozbijały się wściekle o przednią szybę, by dokonać na niej swego żywota i spłynąć smętnie przy akompaniamencie piorunów rozdzielających nocne niebo.

Morana przyglądała się zza tej przezroczystej bariery rozhulanej nawałnicy, która, zdawałoby się, marzyła tylko o tym, by czym prędzej dostać ją w swoje szpony. Tym razem jednak nie zdołała ustrzec się przed deszczem, którego krople jeszcze przed chwilą spadały na nią niczym nachalne pocałunki namiętnego kochanka. Tym razem cała przemoczona drżała pod naporem świeżych wspomnień o ich napastliwych pieszczotach.

I tym razem, tak jak tamtej nocy w penthousie, nie była sama. Nadal nie zebrała się na odwagę, by na niego spojrzeć.

On też nie umknął przed ulewą. Chwilę temu patrzyła urzeczona, jak bez słowa odrywa się od niej i bezszelestnie wślizguje do auta.

Chmury zasnuły niebo. Błysnął piorun. Wiatr huczał i wył.

A ona stała tak w deszczu, pozwalając smagać się jego kroplom i patrząc, jak on na powrót zamyka się w sobie.

Choć nie do końca.

Odpalił silnik, ale nie ruszył, czekając w milczeniu, aż ona napatrzy się na rozmyte odciski ich stóp w miejscu, gdzie dokonała wyboru i zmusiła go do tego samego. Niknęły powoli w potoku błota, piachu i splątanej trawy, które w końcu starły z powierzchni ziemi wszelkie ślady jej wewnętrznej przemiany, tak jak strugi deszczu obmyły jej skórę z brudu po eksplozji, otwierając przy okazji ranę na ramieniu. Trochę ją to zmartwiło, bo wczoraj starała się jej nie zamoczyć, by miała wreszcie szansę się zasklepić.

Trzeba mu oddać, że przez cały ten czas ani razu nie ztrąbił, nie uchylił znacząco drzwi, nie zawarczał silnikiem. Słowem: nie wykonał najmniejszego gestu zniecierpliwienia. A mimo to jego milcząca, uparta obecność mówiła jej, że na nią czeka, przyciągając jak magnes na tym martwym pustkowiu niczym iskra życia w samym sercu nekropolii.

To było jak nieme zaproszenie do jego azyłu, które bez słowa przyjęła. Obeszła czarną mechaniczną bestię i zajęła miejsce obok kierowcy. Dopiero wtedy ruszył i płynnie wyjechał z cmentarza. Ciepły podmuch nawiewu powoli osuszał jej wilgotną skórę i wyciągnęła ku niemu dłonie, by rozgrzać skostniałe palce. To była jej pierwsza przejażdżka tą budzącą zazdrość czarną beemką i wreszcie miała okazję rozejrzeć się po jej wnętrzu, popodziwiać piękną skórzaną tapicerkę, teraz wilgotną od ich przemoczonych ubrań.

Kręcąc lekko głową, zatrzymała wzrok na cyfrowej desce rozdzielczej z wyciszonym radiem i uniosła brwi. Ciekawe,

jakiej muzyki słuchał – jeśli w ogóle słuchał. Wolał rocka czy R&B? A może, podobnie jak ona, miał bardziej eklektyczny gust? Pochłaniając wzrokiem motoryzacyjne detale, po raz pierwszy pozwoliła sobie na tak prozaiczne rozważania na jego temat.

Jej ciekawskie oczy zatrzymały się na lusterku i zwisającym zeń medaliku w kształcie tarczy. Delikatny i ewidentnie kobiecy, kołysał się lekko na subtelnym łańcuszku.

Zmrużyła oczy, próbując odczytać grawerunek.

„Siostrzyczce”.

O Boże. Należał do niej.

Do Luny.

Ukłucie w sercu wcisnęło ją w oparcie fotela i mimowolnie przeniosła wzrok na swego milczącego towarzysza.

Wyglądał na rozluźnionego – równy, miarowy oddech, zero ściskania kierownicy czy drążka przy zmianie biegów. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku – oprócz jednego małego szczegółu: nieruchomych oczu twardo wbitych w szosę, jakby bez tego prowadzenie auta graniczyło z cudem. Unikał jej wzroku od chwili, gdy podniósł z ziemi ubłoconą broń.

Od tamtego zachłannego pocałunku.

Spojrzała na kołyszący się wraz z autem wisiołek i ścisnęła ją w piersi. Ta roztańczona, niepozorna ozdoba, pamiątka po ukochanej siostrzyczce, mówiła o nim więcej niż tysiąc słów. Tyle bólu, tyle gniewu, tak wiele blizn...

Nagle doznała olśnienia – ten wóz też był jego ściśle strzeżonym terytorium. W przeciwnym razie ów srebrny symbol bólu i braterskiej miłości nigdy by się tu nie znalazł, a już z pewnością nie na widoku. Sama jego obecność świadczyła o tym, że auto było dlań świętą oazą prywatności.

I uzmysłowiła sobie, że świadomie ją tu wpuścił, tak jak tamtej pierwszej deszczowej nocy do swojego azylu na szczycie wieżowca, gdy się uparł, by u niego została. Nie potrafiła tego pojąć nawet teraz, dokonawszy swego wielkiego wyboru.

Na myśl o jego konsekwencjach krew znów ścięła jej się w żyłach, mięśnie stężały, a każda komórka ciała zapulsowała lękiem. Wciąż czuła chłód metalowej lufy na trzepocącym sercu, wciąż czuła jego zaborcze wargi na swoich nabrzmiałych ustach, pieśczoły jego drapieżnego, nachalnego języka.

Przeszedł ją dreszcz – z zimna czy na wspomnienie ich pocałunku, tego nie wiedziała.

Pytania kłębiły się jej w głowie, słowa nabierały kształtu i cisnęły się na usta, ale w ostatniej chwili je przełknęła, nie chcąc przerywać milczenia. Dopiero co postawiła go pod ścianą i dobrze wiedziała, że lepiej nie przeciągać struny. Trzeba dać mu czas na przetrwanie wszystkiego w spokoju. Może wtedy język sam mu się rozwiąże.

A przynajmniej ona tak by to widziała, będąc na jego miejscu. Nadal nie miała pewności, co kotłuje się w tej jego głowie, ale fakty były takie, że jednak nie skorzystał z okazji, by odebrać jej życie. I to jej wystarczyło. Na razie.

Nerwową ciszę przerwał dzwonek telefonu porzuconego na desce rozdzielczej.

Instynktownie zerknęła na wyświetlacz.

„CHIARA dzwoni”.

Zanim zdążyła je powstrzymać, jej brwi lekko się ściągnęły.

Chiara? Kim, do diabła, jest Chiara? I z jakiej paki wydzwania o tej porze?

Odwróciła się ostentacyjnie do szyby, skupiając wzrok na niemal pustej szosie za kurtyną deszczu, ale kątem oka

dostrzegła, że odrzuca połączenie. Z powodu jej obecności, swoich humorów czy względów bezpieczeństwa za kółkiem – tego nie wiedziała.

Ziarno niepokoju zostało już jednak zasiane i samo jego istnienie doprowadzało ją do pasji. Telefony w środku nocy od kobiet z pięknymi imionami nie powinny jej w ogóle obchodzić. Nie miała na to siły. Zły znak.

Opędzając się od tych nieprzyjemnych myśli, które obsiadły ją nagle jak muchy, skupiła się na jego szerokiej dłoni, gdy wprawnym, płynnym ruchem zmienił bieg. Ta prosta czynność w jego wykonaniu wydała jej się niemal fascynująca. Pochłaniała wzrokiem ciężki stalowy zegarek z granatową tarczą na jego silnym nadgarstku, siateczkę grubych żył na dłoni, porośnięte ciemnym meszkiem przedramię, długie mocne palce, które jeszcze nie tak dawno czuła w sobie. Poruszając się nerwowo, przeniosła wzrok niżej, na zdarte knykcie. Mogła to być pamiątka po wczorajszym starciu z kafelkami pod prysznicem, choć rana wyglądała na dość świeżą.

Otworzyła usta, by go o to zapytać, ale na widok jego ściągniętych warg szybko zrezygnowała.

Może później.

Mknęli przez noc, połykając kilometr za kilometrem niemal pustej szosy. Po paru długich, ciężkich minutach na tle atramentowego nieba zamajaczyła wreszcie strzelista sylwetka znajomego apartamentowca nad wzburzoną zatoką.

Dwóch uzbrojonych strażników przy bramie skinęło mu z szacunkiem głowami, wpuszczając wóz na uśpiony, podziemny parking. Obejmując wzrokiem morze oświetlonych reflektorami aut, Morana zastanawiała się, kim są ich właściciele – zarazem tutejsi lokatorzy.

Ale zanim zdążyła podążyć za tą myślą, płynnie skręcił, parkując tuż obok swego olśniewającego motocykla. Na widok jego masywnej sylwetki obudziły się w niej wspomnienia tamtej wspólnej przejażdżki, podczas której po raz pierwszy w swoim udręczonym życiu zakosztowała prawdziwej wolności.

Czar prysł wraz z głośnym trzaśnięciem drzwi auta, gdy wyskoczył zeń jak poparzony i nie oglądając się za siebie, pomaszerował prosto do windy – a wszystko to, zanim jeszcze zdążyła odpiąć pasy. Wkurzające, ale bądź co bądź zrozumiałe. Na jego miejscu pewnie zostawiłaby go na tamtym cmentarzu i odjechała z piskiem opon do swojej ukochanej samotni. Nawet dziwne, że sam na to nie wpadł.

I tak jak wtedy na cmentarzu, dotarłszy do windy, nie wjechał na górę, tylko przystanął, czekając na nią w milczeniu. Otworzyła cicho drzwi i zamykając je za sobą, dotknęła przelotnie czarnego siodelka motocykla, po czym ruszyła szybkim krokiem za jego właścicielem, drżąc z zimna w garażowym przeciągu. Tristan stał już w kabinie, przytrzymując stopą metalowe drzwi.

Zaskoczona tym gestem, posłusznie wsiadła. Cofnął się, by wstukać kod. Patrzyła, jak drzwi windy się zasuwają. Stała na przeciw lustrzanego odbicia ich dwojga. Niezły portrecik. Podczas gdy on w tej mokrej, przyklejonej do muskularnego torsu koszuli nadal wyglądał jak model z okładki kolorowego czasopisma, ona przedstawiała sobą istny obraz nędzy i rozpacz. Normalnie wskrzeszona topielica. Naddarte po „wybuchowym” wieczorze ciuchy upiększone smugami błota i brudu, niedomyta deszczem skóra, splecione, zlepione w strąki włosy, kucyk w stanie rozkładu. Jedynym śladem życia były zaróżowione policzki, a nad nimi para okrągłych, przekrwionych oczu.

W tamtej chwili kontrast między ich odbiciami – jego ciemna karnacja versus jej trupia bladość; czysty garnitur versus uwalane błotem fatałaszki; męska, muskularna sylwetka versus drobna figurka i kobiece krągłości; emanacja nonszalanckiej siły versus dojmująca kruchość – sprawiał, że dreszcz przebiegł jej po plecach.

Jeszcze parę dni temu myśl o ciężarze jego nagiego ciała zwyczajnie ją podniecała, teraz – jakby stanęła w płomieniach. Fascynacja i żądza, współczucie i żądza, złość i żądza przemieszały się ze sobą, tworząc wybuchową mieszaninę, i wystarczyła iskra, by skończyło się to widowiskową eksplozją. I już wiedziała, że pewnego dnia ten mężczyzna stanie przed nią w całej swej nagiej okazałości, że poczuje na sobie jego piżmowy zapach i pooraną bliznami skórę i weźmie go w posiadanie.

On będzie jej zgubą. I Bóg jej świadkiem, że nie pozostanie mu dłużna.

Ale jeszcze nie dziś.

Wziąwszy głęboki wdech, aby się uspokoić i szybko podsumować wydarzenia ostatniej doby, zerknęła na niego ukradkiem, przypominając sobie ich pierwszą przejażdżkę tą właśnie windą. Stał oparty o tylną ścianę zaledwie o krok od niej, przeglądając coś w telefonie i nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem. To było takie dziwne, ten ich brak kontaktu wzrokowego. Dopiero teraz, tęskniąc za spojrzeniem jego błękitnych oczu, zdała sobie sprawę, że naprawdę są dla niej jedynym oknem jego duszy.

Wiedziała, że on wie, iż ona go obserwuje. A mimo to twardo nie odklejał wzroku od telefonu.

Wypuściła powietrze i starannie omijając piekącą ranę, zaczęła pocierać ramiona, by się rozgrzać. Drzwi w końcu się

rozsunęły i jej oczom ukazała się majestatyczna panorama skąpanego w deszczu miasta, która chyba nigdy nie przestanie jej zachwycać.

Jej uszu zaś dobiegły dwa gniewne głosy.

Jeden – podniesiony i męski, drugi – niski i kobiecy.

Powściągając zdumienie obecnością Amary i dziwnym zachowaniem opanowanego zwykle Dantego, przystanęła w pół kroku i spojrzała na swego milczącego towarzysza, który wreszcie schował telefon, nadstawiając ucha.

– Nie miałaś prawa! – niemal krzyczał Dante, kipiąc złością. – To nie twoje życie!

– Miałam stać z boku i patrzeć, jak niszczy ją i siebie? – odparowała Amara swoim ścisłym, chrapliwym głosem, w którym mimo bolesnych przeżyć nadal drzemała niemała siła. – Przyglądałam się temu całymi latami, ale miarka się przebrała.

– Tu nie chodzi o ciebie, do diabła! – wrzasnął Dante i Morana aż się wzdrygnęła. – Chcesz opowiadać wszem wobec o historii swojej szramy? Proszę bardzo, opowiadaj. Ale nie masz prawa chlapać językiem o jego bliznach, Amaro! Powiedziałem ci to w absolutnym zaufaniu, a ty wszystko zdradziłaś. Zdradziłaś go. Jak. Mogłaś. Do. Cholery?

– Oskarżasz mnie o zdradę?! Ty? Chryste, czasami już cię nawet nie poznaję – szepnęła Amara trzęsącym się z oburzenia głosem, tak innym niż jeszcze przed godziną, gdy o nim mówiła. – Tak, oświeciłam Bogu ducha winną dziewczynę, powiedziałam prawdę tej, dzięki której wreszcie ożył. Jeśli moja tak zwana zdrada da mu szansę na lepsze jutro, to podpisuję się pod nią obiema rękami! Ona zasługuje, by wiedzieć, a on zasługuje na szczęście!

– Ty znowu swoje – warknął Dante. – To naprawdę kurewsko proste. Zaufaliśmy ci, a ty zdradziłaś. Gdyby chciał jej powiedzieć, toby to zrobił. Wybrał inaczej!

– Ze strachu przed zmianami! – zawołała Amara, wyęzając swoje biedne struny głosowe. – I chyba się zgodzisz, że to wszystko wołało o pomstę do nieba!

– Nie taką.

Cisza.

– Wściekasz się, że zdradziłam ciebie czy jego? – zapytała cicho po chwili.

„Brawo, mała!”

Morana kibicowała w duchu tej poszkodowanej przez los dziewczynie o kruchym głosie, która jednym celnym zdaniem potrafiła zbić z pantałyku wielkiego, groźnego faceta. Wypełniło ją coś na kształt dumy z nowej przyjaciółki.

Ale zanim zdążyło paść kolejne słowo, milczący towarzysz Morany wyszedł sztywnym krokiem z windy i skierował się w stronę jadalni, skąd dobiegały głosy. Czym prędzej podreptała za nim, przygryzając wargi, żeby przypadkiem czegoś nie chlapnąć.

Zatrzymała się dopiero w progu na widok osłupiałej parki wpatrującej się okrągłymi oczami w bohatera swojej kłótni. Wzburzony Dante obrzucił Moranę przelotnym spojrzeniem, zatrzymując się na jej spierzchniętych ustach, i pokręcił ostro głową, po czym odwrócił się do okna, piorunując wzrokiem panoramę przemoczonego miasta.

Amara z kolei nawet na nią nie spojrziała, nie odrywając oczu od mężczyzny u swego boku. Stała wyprostowana, z dumnie uniesioną głową, a na jej twarzy próżno było się doszukiwać choćby cienia skruchy. Momentalnie urosła w oczach Morany o parę ładnych centymetrów, bo zachowanie tak stoickiego

spokoju pod ostrzałem zabójczych spojrzeń Drapieżcy było doprawdy nie lada sztuką.

Teraz kątem oka widziała tylko jego zaciśnięte szczęki.

W grobowej ciszy jadalni atmosfera w jednej chwili zgęstniała tak, że można ją było kroić nożem. Już miała zainterweniować, gdy nagle dostrzegła ruch jego warg.

– Idź do domu, Amaro.

Po raz pierwszy od wielu, wielu godzin przemówił tym swoim głosem stuletniej whiskey i grzechu, stanowczym szepcetem wyprasając olśniewającą piękność ze swoich progów.

Amara skinęła głową bez słowa protestu i zgarnąwszy torebkę, pomaszzerowała do windy. W progu przystanęła jeszcze, by rzucić plecom Dantego ostatnie gniewne spojrzenie ciemnozielonych oczu.

– Przestań być takim tchórzem, Dante – warknęła w jego stronę. – Najwyższy czas, do cholery.

„O-o”.

I z tymi słowy zniknęła w czeluściach windy.

Okej.

Ale jak się okazało, to nie był koniec. Z brwiami uniesionymi pod samą linię włosów Morana patrzyła, jak Dante zaciśka pięści przy bokach, a następnie sięga po najbliższy wazon i z całej siły ciska nim o posadzkę. Wstrzymując oddech, podskoczyła na dźwięk rozpryskującego się w drobny mak kryształu, jedyne, który przeciął grobową ciszę jadalni.

To był naprawdę ciężki dzień i nie miała już siły na kolejne wybuchy czyichkolwiek tłumionych emocji. Jak to dobrze, że wulkan Caine postawił jednak uciąć sobie drzemkę. Ona też musiała się wyłączyć, zanim rozpadnie się na kawałeczki jak to kryształowe cudeńko z podłogi.

Poza tym uznała, że lepiej zostawić ich samych, więc wycofała się na paluszkach do swojej samotni, by tam w spokoju lizać rany.

Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, odetchnęła z najprawdziwszą ulgą. Podłączywszy telefon do ładowania, zaszyła się w łazience i odkręciła wodę na kąpiel.

Przysiadła na brzegu wanny i sycząc z bólu, obmyła otwartą ranę, którą następnie zabezpieczyła świeżym opatrunkiem. Dopiero wtedy wyskoczyła z podartych ciuchów i rzuciła je niedbale w kąt, bo i tak do niczego się już nie nadawały. Skontrolowawszy temperaturę wody i upewniwszy się, że drzwi są zamknięte, weszła do wanny i zanurzyła się w kąpeli.

W niebiańskiej, balsamicznej kąpeli.

Jęcząc z rozkoszy, gdy woda pieściła jej obolałe mięśnie i całowała poranioną skórę, oparła ręce o brzeg wanny i z przymkniętymi oczami na chwilę wsadziła głowę pod wodę.

Wypłynąwszy, opadła potylicą na kafelki, próbując o niczym nie myśleć.

Ani o swoim spalonym aucie, ani o niedoszłych zabójcach i ojcu, który ich nasłał, ani o mężczyźnie, który przybył jej na ratunek, ani o wyborze, którego oboje dokonali – a już na pewno nie o pocałunku, który wciąż czuła na spierzchniętych wargach. Nie chciała pozwolić sobie na żadne wspominki tej deszczowej nocy, jakiegokolwiek one były.

Po prostu leżała w tej wannie, pozwalając pieścić się wodzie jak najczulszemu kochankowi, w jego ramionach znajdowała ukojenie i oczyszczenie.

Rozkminka mogła poczekać do jutra. Podobnie jak niepewność, lęk i groźba rozpadu na milion kawałeczków. Dziś istniały tylko ta wanna i kąpiel zapomnienia.

Po wielu, wielu minutach, gdy woda już ostygła i skóra zaczęła się jej marszczyć, powoli odpływając w sen po ciężkim dniu, resztką siły woli dźwignęła się z wanny. W tamtej chwili marzyła tylko o wygodnym łóżku, w którym przez nikogo nie-  
napastowana spędzi najbliższe dziesięć lat. Minimum.

Wzdychając, wyłączyła światło w łazience i nie przejmując się swoją nagością, weszła do tonącej w mroku sypialni. Tej nocy i tak nie będzie żadnych odwiedzin gospodarza; od przygody na cmentarzu unikał jej jak ognia i dziś to się już raczej nie zmieni.

Półprzutomna rzuciła się na obłożone puchowymi poduszkami łóżko i z gardła wyrwał się jej jęk rozkoszy.

Nagle błogą ciszę przerwało wibrowanie telefonu i uchyliła leniwie powiekę. Wreszcie obudził się do życia.

Sięgnąwszy po aparat, odłączyła go od ładowarki i odblokowała wyświetlacz. Cztery nieodebrane połączenia i trzy esemesy od Tristana Caine'a.

Mrugając na rozbudzenie, przełknęła ślinę i kliknęła w ikonę wiadomości, wracając do przerwanej konwersacji.

**Morana:** Powinni. Bo właśnie wysadziłam w powietrze auto z dwoma ludźmi w środku.

(wysłano o 16.33)

**Tristan Caine:** Gdzie jesteś?

(otrzymano o 16.34)

**Tristan Caine:** To wcale nie jest śmieszne, panno Vitalio. Gdzie jesteś?

(otrzymano o 17.00)

**Tristan Caine:** Klnę się na Boga, że... GDZIE, DO DIABŁA, JESTEŚ?

(otrzymano o 17.28)

A potem cisza w eterze.

Przełykając gulę skłębionych nerwów, które wróciły ze zdwojoną siłą, odłożyła telefon i przymknęła oczy, przekręcając się na bok.

Dochodziła dziesiąta trzydzieści wieczorem. Co by oznaczało, że na cmentarzu spotkali się około dziewiętej. Co mógł robić w tym czasie?

Tylko nie to. Żadnych rozkminek. Wciągnęła powietrze i napawając się cytrusowym zapachem świeżej pościeli, nakazała sobie zasnąć. Jutro będzie czas na rozmyślenia, knucie spisków i układanie planów. Dziś była zbyt zmęczona walką o życie, by zaprzęgać mózg do dodatkowej pracy.

Kiwnęła do siebie głową i już-już miała odpłynąć, gdy nagle jej uszu dobiegły dwa męskie głosy. Sfrustrowana, przykryła głowę poduszką.

I od razu ją ściągnęła.

Przygryzając dolną wargę, nadstawiła uszu. Co prawda rozmowa nie toczyła się pod jej drzwiami, ale w sukurs przyszła jej operowa akustyka przepastnego, pogrążonego w nocnej ciszy apartamentu.

– Jak wyszedłeś, dzwonił ojciec – powiedział Dante.

Czyli jednak darowali sobie gadkę o zdrowiu emocjonalnym. „Faceci”, pomyślała.

Brzęk potłuczonego kryształu mówił jej, że któryś zabrał się do sprzątanía.

– W domu robi się gorąco, Tristanie – ciągnął spokojnym, opanowanym tonem, z którym zaczęła go utożsamiać. – Jest źle. Musimy wracać.

Cisza. A potem ten upojny głos Tristana, który za każdym razem uderzał jej do głowy:

– Tak, musimy.

Jego słowa dotarły do jej zahipnotyzowanego umysłu z dużym poślizgiem. Jak to, on wyjeżdża?! Nie wiadomo czemu ogarnęła ją dziwna, obca odmiana paniki. Po tych wszystkich staraniach, żeby mu się nie wymknęła, tak po prostu sobie pryśnie? I zostawi ją na pastwę losu? Gdy właśnie złożyła tenże los w jego rękach?

Żołądek podszedł jej do gardła.

Ściskając pościel, jeszcze mocniej wyteżyła słuch.

– Pogadamy wreszcie o słoniu w pokoju? – zagaił Dante.

– Nie widzę żadnych słoni – padła obojętna odpowiedź.

Szczyt zblazowania. Bardzo w jego stylu.

Jej uszu dobiegło westchnienie Dantego. Jego rozmowy z przyszywanym bratem musiały być nimi naszpikowane.

– Co robiłeś w domu bydlaka, i to bez obstawy?

Ach, więc to o takie słonie chodziło. Tylko o kim oni mówili?

– Składałem wizytę – odparł wyzywająco Tristan i brwi podskoczyły jej pod samą linię włosów.

Dante stanął na wysokości zadania.

– Już i tak pali ci się pod tyłkiem. Chyba zapomniałeś, że ktoś się na ciebie...

– Nic nowego.

– ...i tylko dolewasz oliwy do ognia. Ostatnie, czego nam teraz potrzeba, to wojna z Gabrielem Vitaliem.

Jeden.

Dwa.

„O kurwa”.

Szok i niedowierzanie stulecia. Był u jej ojca?! Wszedł w paszczę lwa?! Sam?! Czy ten człowiek do reszty postradał rozum?!

Przed oczami stanęły jej te zdarte knykcie, które nawet gdy ją całował, wprost krzyczały o świeżym mordobiciu. Zapadła się pod ziemię, a on poleciał prosto do rezydencji jej ojca i jakimś cudem wyszedł stamtąd żywy? Z pozdieranymi knykciami?

Co. On. Najlepszego. Zrobił.

Łapiąc powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg, nie chciała nawet myśleć o konsekwencjach jego czynów. Zawał mурowany.

Ale w jej sercu pojawiło się coś jeszcze. Coś kompletnie nowego. Raz: ukarał jej ojca za tamto zepchnięcie ze schodów. Dwa: gdy zapadła się pod ziemię, wziął i spalił mu chałupę, wychodząc z tego bez szwanku. I po raz pierwszy w życiu jej oczy wypełniły się łzami. Nikt nigdy o nią nie dbał, nie uroziłby za nią ani jednej łzy, a tu ten człowiek, który przez dwadzieścia lat pałał do niej dziką nienawiścią, nie zawahał się ponieść uszczerbku na zdrowiu w jej obronie. Coś nienazwanego, niepojętego ścisnęło ją w piersi.

Biorąc urywany oddech, dalej podsłuchiwała.

– Więc dobrze się składa, że długo tu nie zabawimy, prawda? Długa pauza.

– Czy przez „my” masz na myśli również Moranę? – zapytał cicho Dante.

Słuchała z trzepoczącym sercem, nie próbując nawet uspokoić kotłowaniny niezrozumiałych emocji, jakie nią w tej chwili targały. Ale bardziej od słów wypatrywała jego czynów.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Dante znów westchnął. Ścisnęła pościel, aż jej knykcie pobielaly.

– Tristanie, to jego córka. Ja wszystko rozumiem, naprawdę, ale nie da rady tego ciągnąć. Vitalio może się mścić. To się może bardzo źle skończyć i dobrze o tym wiesz.

Znów cisza.

– Nie wspominając już o tym, że po drodze straciłeś czujność. Nie jesteś sobą. A nas nie stać na pełnoskalową wojnę, Tristanie.

– To nie jej wina...

– Doprawdy?

Pauza.

– Posłuchaj, ja też nie chcę oddawać jej temu skurwielowi – ciągnął Dante. – Ale przecież mamy bezpieczną metę, można ją tam przenieść. Albo wyrobić lipny paszport i wywieźć z kraju jak Catarinę z dziewczynkami. Zostanę i wszystkiego dopilnuję, nie spadnie jej włos...

– Ona jedzie ze mną.

Cztery słowa.

Ciche. Gardłowe. Ostateczne.

Oddech, który wstrzymywała, wyrwał się jej z płuc niczym trąba powietrzna, a rozdygotane serce niemal eksplodowało. Przykryła je dłonią, biorąc parę głębokich wdechów na uspokojenie. Zalała ją fala ulgi i... czegoś jeszcze.

„Jedzie ze mną”.

Czy tego właśnie chciała? Porzucić miejsce nazywane domem, jedyne miasto i życie, jakie znała? Mogłaby z nim walczyć, ale czy tego chciała? Nie.

Dante długo milczał i zaczęła się zastanawiać, jak na żywo wygląda to starcie tytanów.

– Ojciec cię ukarze – brzmiało ciche ostrzeżenie Dantego. Tristan prychnął.

– Wisi mi to.

– Nie o ciebie się martwię, tylko o nią – doprecyzował Dante. – Bo osiągnęła coś, czego jemu nigdy się nie udało.

„To znaczy?” – dopytywała w duchu.

– Opuść sobie, Dante – warknął groźnie Tristan. – Pożyjemy, zobaczymy. Tylko ściągnij na rano samolot.

– Bądź gotów na ósmą – rzucił Dante.

– Będę.

Okej.

Biorąc głęboki oddech, usłyszała cichy dzwonek windy – znak, że Dante ją przywołał.

– Tak przy okazji! – krzyknął za nim Tristan. – Chiara dzwoniła.

Chiara Mancini. Tamto odrzucone połączenie. Kim ona była?

– Czego chciała?

– Nie odebrałem. I nie zamierzam odbierać – odparował Tristan. – Ale jeśli napuści ją na...

– Zajmę się tym przed wylotem – odparł Dante i kolejny dzwonek powiedział jej, że drzwi windy się za nim zasunęły.

„Co to za baba, do licha?”

Przekręciła się na bok, wbijając wzrok w ulewę za niepozornym oknem swojej tymczasowej sypialni. Nie mogła wyjść ze zdumienia, jak bardzo jej życie zmieniło się od ostatniej deszczowej nocy, którą spędziła w tym łóżku. Choć czysto hipotetycznie, wtedy rozważała nawet rzucenie się z okna. Dziś nie wyobrażała sobie rozstania z czymś, co stało się jej największym skarbem, o który zaczęła walczyć jak lwica.

Z życiem.

Bo po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuła, że żyje. Jednego wieczoru dowiedziała się o nim więcej niż przez te wszystkie tygodnie – że trzyma w aucie wisiołek po zaginionej przed dwudziestu laty siostrze, że z sobie tylko znanych powodów złożył jej ojcu jednoosobową „wizytę” z mordobiciem,

z której wyszedł bez szwanku, co tylko jeszcze bardziej podbiło jego legendę postrachu miasta. Nie znała nikogo – nikogo – kto wszedłby sobie jak gdyby nigdy nic do domu wroga, spuścił komuś manto i spokojnie się zmył.

Dreszcz przebiegł jej po plecach i przymknęła oczy, uzmysławiając sobie najświeższą rewelację: był gotów zabrać ją ze sobą, z dała od tego piekła, w którym nic dobrego już jej nie spotka, narażając się na gniew nie tylko jej ojca, ale i Lorenza Maroniego. Co więcej, był przekonany, że nic złego jej nie grozi. A ona ślepo mu wierzyła, czuła to w kościach. Bo dotarło do niej, że pomimo swoich gróźb zawsze wyjątkowo źle reagował na jakąkolwiek krzywdę, która ją spotkała – nawet z jego własnych rąk. Tak jak wtedy, gdy w dobrej wierze drasnął ją w kasynie, albo jak dziś, gdy myśląc, że nie żyje, pogłaskał zwęglony wrak jej ukochanego autka.

Na to wspomnienie poczuła ucisk w sercu.

Ale zanim zdążyła na dobre się rozkleić, usłyszała cichy szcęk otwieranych drzwi.

Jakiś głęboko zaszyty, wewnętrzny głos momentalnie nakazał jej znieruchomieć, jakby wystarczyło najmniejsze mrugnięcie oka, by go spłoszyć.

Po co tu przyszedł? Znowu popatrzeć, jak śpi? Czy porozmawiać, na co raczej się nie zanosilo?

Nagle zawstydziła się swojej nagości, obnażonych ramion, zerkających spod pościeli piersi, leniwie zarzuconego na kołdrę biodra. Przeszedł ją dziwny prąd, zostawiając za sobą gęsią skórkę, mrowienie rozgrzanej skóry i sterczące sutki.

Ale nie poruszyła się, nie zrobiła nic, by się okryć, udając, że śpi jak kamień. Dla niepoznaki resztką siły woli wyregulowała oddech, rozluźniając całe ciało.

Nie miała pojęcia, czy stał przy drzwiach, czy podszedł do łóżka, czy miał lepszy widok na jej obnażoną nogę, czy pierś. Nie wiedziała nawet, czy ciężkie spojrzenie, które na sobie czuła, było jawą, czy wytworem jej wyobraźni. Wiedziała tylko, że już kiedyś przyglądał się jej we śnie. Jak długo i z jakiej odległości – nie miała pojęcia. Ale tym razem nie spała. I chciała zobaczyć, czy znów się czymś zdradzi, myśląc, że ona go nie widzi.

Oddychając miarowo przy akompaniamencie uderzających za oknem piorunów, z trzepocącym sercem powstrzymywała się, by nie zacisnąć pięści, nie przygryźć nabrzmiąłych warg, nie zadrzeć z podniecenia. Bo usta zapłonęły jej pod ciężarem jego namiętnego spojrzenia, którym w duchu już je rozchyłał. To wszystko mogła być tylko gra wyobraźni, ale ten sam wewnętrzny głos mówił jej, że na nią patrzy, a instynkt podpowiadał, by wygiąć się lubieżnie w łuk, zrzucając do końca kołdrę.

Nie zrobiła tego.

Zamiast tego pozwoliła jego oczom pieścić swoje spragnione usta i rozgrzaną skórę, przywołując echo jego pocałunków.

I poddała się bez reszty prymitywnemu zewowi, który w niej budził.

Serce waliło jej jak młotem, krew dudniła w uszach, a między nogami zrobiło się mokro. Była już tak rozpalona, że miała ochotę skopać tę kołdrę – a przecież jeszcze nawet jej nie dotknął.

Ale pomimo trawiącego ją ognia i kotłowaniny emocji w rozedrganym sercu wciąż się nie poruszyła, siłą nawyku udając zimny głaz. Bądź co bądź przez te wszystkie lata doprowadziła tę sztukę do perfekcji.

Mijały minuty.

Długie, ciężkie minuty.

Krótkie, grzeszne minuty.

Niczym ziarenka piasku przesypujące się przez palce.

Pokonujące wąskie gardło klepsydry.

Mijały kolejne chwile.

Odmierzane biciem serc.

Oddechami.

Powietrze znów zadygotało.

Był tuż obok.

Czuła to każdą komórką ciała.

Stał pomiędzy łóżkiem i oknem, z udami na wysokości jej twarzy. Obok palącego wzroku czuła bijące od niego ciepło, a w jej nozdrza wdzierał się piżmowy zapach jego ciała, przesiąknięty wilgocią mokrych ciuchów.

Napięcie sięgnęło zenitu i resztkami siły woli opanowała spotniałe dłonie i niepokorne serce, które trzepotało jej w piersi jak ptak wyrrywający się na wolność.

Z jednej strony ta jego władza nad jej ciałem przerażała ją, z drugiej – tak naprawdę dopiero w jego mocy czuła, że żyje.

Nie pojmowała tego, ale w tamtej chwili to było nieważne.

Po prostu leżała na łóżku, spokojnie oddychając.

Wdech.

Wydech.

Wdech.

Wydech.

W...

Palec.

Muskający jej ramię.

Nie, to nawet nie było muśnięcie. Ani tym bardziej dotyk.

Zawisł tuż nad jej skórą, obrysowując w powietrzu kontury opatrunku. Nigdy by tego nie wyczuła, gdyby nie była tak wrażliwa na każdy jego ruch.

Serce prawie jej stanęło, a spotniałe, drżące ramię lizały języki ognia.

Cień zniknął i niemal otworzyła usta, by go przywołać, gdy nagle zmaterializował się nad jej szczęką, lekki jak piórko. Odgarnął jej za ucho niesforny kosmyk, odstaniając bark i szyję ze zdradziecko pulsującą żyłką. Gdy w ślad za lufą pistoletu sprzed paru godzin zaczął obrysowywać palcem kontur jej szczęki, górna warga momentalnie jej spotniała.

Wspomnienie dotyku chłodnego, śmiercionośnego metalu w zestawieniu z tym łaskotliwym nie-dotykiem nieśmiałej opuszki sprawiło, że przeszedł ją prąd i mimowolnie się naprężyła, jakby chciała wyjść mu na spotkanie. Była tak wygłodniała dotyku jego ciała. Oczy zaszyły jej mgłą, płuca domagały się łyku powietrza, którego im odmawiała, i poczuła, że powoli traci kontrolę nad zmysłami.

Już tylko instynkt powstrzymywał ją przed zdradzeniem się, że nie śpi. Bo wtedy rozpląnąłby się w powietrzu. A tego nie chciała. Jeszcze nie.

To... to było jak iskra życia.

Cień dotyku obrysowywał jej ucho.

Palce u stóp mimowolnie się jej podwinęły.

Cień unosił się nad jej rozgrzaną skórą w drodze powrotnej do szczęki i przeklinała, a zarazem błogosławiła jego wstrzemięźliwość – jedyne, co podtrzymywało jeszcze tę maskaradę. To było jak podsłuchiwanie najintymniejszej rozmowy. Serce biło jej tak szybko, że ciało ledwie już za nim nadażało, i w gęście protestu mogła tylko ścisnąć uda.

Nagle cień zawisł nad jej ustami.  
I było po wszystkim.  
Dwie nabrzmiące, tkliwe wargi, wciąż noszące piętno jego ust, zadrżały.  
Niemał niedostrzegalnie, ale jednak.  
Serce zamarło jej w piersi.  
Wyczuł to?  
Znieruchomiła.  
Niczym zwierzyzna, która wyczuła drapieżnika.  
Znieruchomiał.  
Niczym drapieżnik, który wypatrzył zwierzyne.  
Tylko kto tu był kim?  
I czy to wyczuł?  
Odpowiedź przyszła ułamek sekundy później.  
Cień rozplynął się w powietrzu.  
A on zniknął równie bezszelestnie, jak się zjawił.  
Usłyszała szcęk zamykanych drzwi i zrobiło się cicho.  
Wstrząsnął nią gwałtowny dreszcz, którego nie była w stanie dłużej tłumić. Dysząc, jakby przebiegła maraton, drżącą ręką ściągnęła kołdrę z rozognionego ciała, które już dawno przestało jej słuchać.  
Czuła się zbrukana. W środku. Na zewnątrz.  
A on nawet jej nie dotknął.  
Wciskając głowę w poduszkę, objęła dłońmi sterczące piersi i gdy je ścisnęła, całe jej ciało przebiegł dreszcz rozkoszy.  
Nigdy nie dotykał jej piersi. Ale w ciemności tej deszczowej nocy wyobrażała sobie, że to jego ręce, potężne, szorstkie i wprawne. Wyobraziła sobie jego chropowate odciski na swoich tkliwych, stwardniałych sutkach, szerokie dłonie przykrywające szczelnie jej piersi, i rozwarła usta, cicho dysząc.

Czując wzbierającą tam na dole ognistą lawę, instynktownie wsunęła sobie drżące palce między nogi.

Była cała mokra.

Jeszcze nigdy czegoś takiego nie doznała.

Dosłownie się z niej łało.

Z ust wyrwało się jej ciche jęknienie i doprowadzona na skraj ekstazy schowała twarz w najbliższą poduszkę. Pierwszy palec wszedł jak w masło. Drugi ruszył w ślad za nim.

Ssący głód w podbrzuszu w jednej chwili wymknął się spod kontroli. Przypomniała sobie, jak on wypełniał ją po brzegi, wielki, ciężki i mocarny. Przypomniała sobie jego dzikie, zapamiętałe dżgnięcia, którymi raz po raz ją rozpalał. Przypomniała sobie, jak z każdym pchnięciem uderzał w jej najczulszą strunę, jak wyginała się w łuk, jak przy każdym zetknięciu ciała robiła się coraz bardziej mokra.

Dyszząc, musnęła palcem łechtaczkę. Jeden jedyne raz.

I wtedy nastąpiła eksplozja.

Oślepiająca, ogłuszająca eksplozja.

Wyginając się w łuk, przygryzła poduszkę, by stłumić krzyk. Wstrząsana gwałtownymi spazmami, na ułamek sekundy niemal uniosła się nad łóżkiem i krążąca w jej żyłach krew przemieniła się płynny ogień.

Uniesienie.

Ekstaza.

Delirium.

Wyczerpana do cna, opadła bezwładnie na materac, czekając, aż ustąpią ostatnie drgawki.

Boże, jak to się mogło stać? Przecież nawet jej nie dotknął, nie odezwał się ani słowem – a mimo to wprost ociekała wilgocią.

Przerażające. I podniecające zarazem. W takich chwilach czuła, że żyje.

To on budził ją do życia.

Teraz, gdy zeszło z niej całe napięcie, a ciało zwiotczało jak szmaciana lalka, okryła się kołdrą, rzucając ostatnie senne spojrzenie ku oknu.

I serce stanęło jej w piersi.

Był tu.

Spowity mrokiem.

Opierał się o ścianę pod oknem.

Z rozwiązany krawatem i rękami w kieszeniach spodni.

Przeszywając ją tymi swoimi płonącymi oczami.

Był tu przez cały czas.

Serce podeszło jej do gardła i poczuła, jak pod ostrzałem jego wygłodzonego wzroku momentalnie oblewa się szkarłatem.

Od początku wiedział, że nie spała. Od początku z nią pogrywał, tak jak ona z nim.

Pałac się ze wstydu, przytrzymała jego wzrok, kątem oka zerkając na jego nabrzmiałe krocze. Świadomość, że i on nie pozostawał obojętny na spektakl, który mu nieświadomie zafundowała, była niesamowicie elektryzująca.

Wiedziała, że nie przerwie milczenia, nie dziś.

A mimo to nie był w stanie zostawić jej w spokoju.

Na tę myśl uśmiechnęła się do siebie, co oczywiście nie umknęło jego uwadze.

W końcu przekreśliła się z powrotem na plecy i naciągając kołdrę, zamknęła teatralnie oczy.

Czuła, że ją obserwuje, ale tym razem serce nie waliło jej jak młotem. Tym razem biło równym rytmem, osobliwie

uspokojone. Przeżyła ten dzień i przejrzała go na wylot; on zostawił za sobą fragment przeszłości i też przejrzał ją na wylot. I to, nie wiadomo czemu, ją uspokajało.

W końcu zniknął równie bezszelestnie, jak się zjawił, zostawiając ją samą ze swoim pożądaniem.

Uciekając przed nową nawałnicą myśli, osunęła się w objęcia Morfeusza.

Jutro to nowy początek.





Jutro jej życie się zmieni.

Jutro lecą do Tenebrae.

# SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



  
**Papierowe  
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe\_serca